Bunt obrazów i dźwięków

Jolanta Łada-Zielke *(Hamburg)*



Szymon Nehring, fot. **Tomasz Filiks/IAM@IAM**

Relacja z koncertu towarzyszącego wystawie „Stille Rebellen. Polnischer Symbolismus um 1900“, 1 czerwca 2022 w Herkulessaal w Monachium.

„Cisi buntownicy” czyli „stille Rebellen” – tak nazwali polskich malarzy z lat 1890-1918 organizatorzy wystawy w monachijskiej Kunsthalle. Od 25 marca można tam oglądać historyczne obrazy Jana Matejki, alegorie Jacka Malczewskiego, portrety pędzla Olgi Boznańskiej i Władysława Ślewińskiego oraz pejzaże Ferdynanda Ruszczyca. Jest to piewsza w Niemczech prezentacja tak bogatej kolekcji dzieł sztuki polskiej z przełomu XIX i XX wieku. W ten sposób polscy malarze wyrażali swój bunt przeciwko zaborcom i tęsknotę za wolną, zjednoczoną ojczyzną. Niektórzy z nich działali w Berlinie, Monachium, Paryżu, Sankt Petersburgu i Wiedniu, czerpiąc inspirację z tamtejszych środowisk twórczych. Przesłanie tego wydarzenia artystycznego odnosi się też do wojny w Ukrainie, przeciw której buntują się współcześni artyści. Ekspozycję przygotowała Kunsthalle München we współpracy z Instytutem Adama Mickiewicza oraz oddziałami Muzeum Narodowego w Warszawie, Krakowie i Poznaniu.

Koncert pod tytułem *Stabat Mater* towarzyszący wystawie, jaki odbył się 1 czerwca w Herkulessaal (Sali Herkulesa) w Monachium, współorganizowało ze strony niemieckiej towarzystwo Arte-Musica-Poetica. Program doskonale współgrał z tematem ekspozycji, bo zawierał polskie utwory podejmujące temat wojny, śmierci i walki narodowo-wyzwoleńczej oraz jeden utwór ukraińskiego kompozytora. Na scenie pojawili się artyści z Niemiec i krajów słowiańskich, towarzyszyli im Monachijscy Symfonicy (Münchner Symphoniker), a koncert poprowadził

niemiecki dyrygent Hansjörg Albrecht.



Koncert w Monachium, od lewej: Hansjörg Albrecht, Tomasz Konieczny, Christa Mayer, Evelyn Novak. fot. Jolanta Łada-Zielke

Gwiazdą pierwszej części wieczoru był pochodzący z Krakowa pianista Szymon Nehring. Na początek zagrał *Elegię op.41 Nr 3* Mykoły Łysenko (1898-1976), przedstawiciela ukraińskiego modernizmu w muzyce. Tym krótkim, słowiańsko-impresjonistycznym utworem, pianista wprowadził słuchaczy w refleksyjny nastrój, pogłębiony następnie przez koncert Nr 1 e-moll op. II Fryderyka Chopina. Premierowe wykonanie tego dzieła nastąpiło w przeddzień wybuchu Powstania Listopadowego 1830. Nehring, zwycięzca legendarnego konkursu pianistycznego imienia Artura Rubinsteina, gra momentami subtelnie, jak gdyby delikatnie muskając klawiaturę, to znów żarliwie i dramatycznie. Na bis wykonał jeden z Mazurków Karola Szymanowskiego z op. 50. Natomiast

charyzmatyczny dyrygent Hansjörg Albrecht ma doskonałe wyczucie muzyki słowiańskiej, którą nie wystarczy wygrać z partytury; trzeba jeszcze pojąć i pokazać jej „duszę”. Albrecht doskonale spełnia ten warunek: cały oddaje się muzyce, jednocześnie trzymając w ryzach orkiestrę i prowadząc ją nie tylko za pomocą rąk, lecz całym ciałem, czasem niemal tańcząc.

Po przerwie jako pierwsza zabrzmiala IV Symfonia op. 61 Mieczysława Weinberga (1919-1976), która miała swoją premierę w 1961 roku w Moskwie. Dorobek tego kompozytora wzbudza ostatnio coraz większe zainteresowanie, zwłaszcza po wystawieniu opery *Pasażerka* w 2020 w Grazu. Weinberg urodził się w Warszawie w rodzinie żydowskiej. Po wybuchu II wojny światowej uciekł najpierw do Mińska, gdzie ukończył studia kompozytorskie, później do Taszkentu, skąd dwa lata później wyjechał do Moskwy na zaproszenie Dymitra Szostakowicza, gdzie pozostał do końca życia. Szostakowicz został przyjacielem i mentorem Weinberga, pomógł mu wydostać się ze stalinowskiego więzienia i pozytywnie opiniował każde nowe dzieło młodszego kolegi. Utwory Weinberga są naznaczone wojną, w której kompozytor stracił rodziców i siostrę. Motywy słowiańskie przeplatają się w nich z żydowskimi.



Koncert w Monachium, fot. **Tomasz Filiks/IAM@IAM**



Koncert w Monachium, fot. **Tomasz Filiks/IAM@IAM**

I część jego IV Symfonii ma charakter militarny, słychać tam perkusję i pizzicato instrumentów smyczkowych, a partie dętych

przypominają wojskowe fanfary . W części drugiej – *Allegretto* – zwraca uwagę solo koncertmistrza, który gra na wytłumionych strunach skrzypiec. W *Adagio, Andantino* klarnet podejmuje melodie żydowskie, jakby przejęte z muzyki klezmerskiej. Ta część kończy się niespodziewanie w skrajnie niskich rejestrach, jakby ktoś zdusił brzmienie orkiestry; jest to wyraźna aluzja do holokaustu. Motywem przewodnim ostatniej części symfonii – *Vivace* – jest rosyjska pieśń ludowa *Periepiełoczka*.

Ukoronowaniem wieczoru było oratorium Karola Szymanowskiego *Stabat Mater op. 53*. Partie chóralne zaśpiewali European Festival Choir i wybrani członkowie Münchener Bachchor, którzy w zadowalającym stopniu opanowali polską wymowę tekstu Józefa Jankowskiego. Pochodząca z Chorwacji solistka Berlińskiej Opery Narodowej Evelin Novak delikatnym i miękkim, a jednocześnie przejmującym brzmieniem swojego sopranu, wprowadziła publiczność w atmosferę panującą na Golgocie. Jej niemiecka koleżanka, mezzosopranistka Christa Mayer pogłębiła to wrażenie. I tu wielki ukłon w jej stronę, bo wymawiała polskie słowa starannie, nie tracąc przy tym nic z muzykalności. Kiedy Tomasz Konieczny zaśpiewał*: I któż widział tak cierpiącą…*, jego dramatyczny bas-baryton wypełnił całą salę, wprawiając publiczność w zachwyt. Słuchacze myśleli wtedy z pewnością o ukraińskich i rosyjskich matkach, które tracą dzieci w tej bezsensownej wojnie. Hansjörg Albrecht, który w wywiadzie

udzielonym mi parę lat temu wymienił Karola Szymanowskiego wśród swoich ulubionych kompozytorów, poprowadził również i ten utwór z wyczuciem i precyzją, umiejętnie rozkładając proporcje dynamiczne pomiędzy chór, orkiestrę i solistów.

Polsko-niemiecko-ukraińska publiczność nagrodziła artystów gorącymi brawami. Wystawę *Stille Rebellen. Polnischer Symbolismus um 1900* można oglądać w Kunsthalle München do 7 sierpnia, ale ten koncert jest wart powtórzenia; może na którejś z polskich estrad.

Dyrygent: Hansjörg Albrecht, **Orkiestra: Münchner Symphoniker**, **Europeran Festival Chor & Münchener Bachchor**, **Soliści: Szymon Nehring – fortepian**, **Evelin Novak- sopran**, **Christa Mayer -alt**, **Tomasz Konieczny – bas-baryton**.

---

[1] David Fanning, Mieczysław Weinberg – Auf der Suche nach Freiheit, Wolke Verlag Hofheim 2010, s. 111-112

*

Zobacz też:

Aspirując do miana artysty

„Krople Rosy” – promocja płyty Izy Konar w krakowskiej Kawiarni Literackiej

Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz – poetka i dziennikarka, mieszkająca w High Wycombe pod Londynem, jest autorką magazynu „Culture Avenue”. 31 maja 2022 r. w Kawiarni Literackiej w Krakowie miała miejsce promocja płyty Izy Konar, na której znalazły się wiersze Agnieszki Kuchni-Wołosiewicz. Magazyn „Culture Avenue” był jednym z

patronów medialnych płyty.



Od lewej: Iza Konar, Grzegorz Michlewicz i Agnieszka Kuchnia Wołosiewicz podczas występu w Kawiarni Literackiej w Krakowie

Tymon Nawrocki *(PAP)*

Kiedy w ciepły, wiosenny wieczór zmierzałem do Kawiarni Literackiej w Krakowie, zupełnie nie wiedziałem, czego się spodziewać. Prześledziłem twórczość Izy Konar na YouTube, trafiłem także na blog Agnieszki Kuchni-Wołosiewicz, gdzie z zaskoczeniem odkryłem jej wszechstronność

pisarską. Zaintrygowała mnie również postać tzw. gościa specjalnego, czyli Piotra Oczkowskiego – poety, który, jak się miało okazać, idealnie wpisał się w nastrój wydarzenia.

Ale, zacznijmy od początku. W progu przywitała mnie radość i ciepło bijące od czarującej poetki, która witała każdego z gości swoim uśmiechem, a także przedstawiała pozostałych artystów, czyli Izę i Piotra. Uśmiechnąłem się szczerze, gdyż w Literackiej… już bywałem, ale zwykle spotkania takie są sztywne, a tu panowała znakomita atmosfera. Kolorową salę wypełniali kolorowi ludzie, z pośród których szczególnie moją uwagę zwrócił nieco spóźniony, ale jeszcze „zdążony” Tadek Nowak. Czy ja go nie znam z ASP – taka myśl przebiegła po mej głowie.



Iza Konar i Piotr Oczkowski podczas występu w Krakowie



Publiczność podczas promocji płyty w Krakowie

Gdy zgasły światła, na stolikach królowały kolorowe lemoniady, słodkie wino i palce stukające w rytm piosenek. Iza Konar jest znakomitą performerką. Wypowiada się w sposób bardzo naturalny, wciągając słuchaczy w świat pełen magicznych dźwięków. Doskonale śpiewa i gra. Kompozycje do wierszy mocno mnie zaskoczyły. Być może spodziewałem się czegoś słodko naiwnego. Dostałem po łapach… W jednym z utworów dało się wyczuć wręcz metalowe brzmienia. Pojawił się też *folk* i trochę naszych, typowo krakowskich brzmień w wyjątkowo

kobiecym spojrzeniu na miasto mego urodzenia (*Kraków Zakochanych*).

Wszystko to było bardzo nasze – Kraków, góry i doliny, tatrzańskie krajobrazy sponad świerków rozedrganych czubków. A także ta emigracyjna tęsknota w słowach: „u mnie wierchy nie są moje"…

Sentymentalna, acz nie przeintelektualizowana, była również poezja towarzysząca, chrzanowskiego artysty, Piotra Oczkowskiego. Gdy długowłosa piękność deklamowała wiersz kolegi o Marii Magdalenie, można było pomyśleć – Czy nie czytasz o sobie, dziewczyno?

Magiczne wiersze z nutą świeżości, jakby odrestaurowane obrazy przeszłości przemykały ulicą Krakowską i biegły do Rynku, „trzymając nas za rękę" i za serce… „jak w piosence"…

Gorąco polecam płytę *Krople Rosy* i dziękuję, że mogłem płynąć tego wieczora jej muzyką po wiślanym zakolu Krakowa.

Fotografie pochodzą z archiwum Agnieszki Kuchni-Wołosiewicz



Zobacz też:

> Tak kocham z wiatrem chodzić za rękę

Dobra pamięć o doskonałych aktorach. Wspomnienie osobiste.



Ignacy Gogolewski, portret z okresu pracy w Lublinie, fot. Zbigniew Zugaj, źródło: wikimedia commons

Kazimierz Braun *(Buffalo)*

Tak zdarzyła wola Boża, że tego samego dnia 15 maja 2022 r. zmarło dwóch wybitnych polskich aktorów: Ignacy Gogolewski (ur. 1931) i Jerzy Trela (ur. 1942). Ich życiorysy i dokonania były już z tej smutnej okazji wielokrotnie na nowo przypomniane. Bowiem już dawno weszli do historii polskiego teatru.

A byli aktorami o całkowicie odmiennych warsztatach.

Gogolewski uznawany był słusznie, przez pierwszą część swojej drogi przez teatr, za kontynuatora wielkiej polskiej, poetyckiej tradycji romantycznej, w którą wpisał się znakomitą, olśniewającą rolą Gustawa-Konrada w inscenizacji *Dziadów* Aleksandra Bardiniego w Teatrze Polskim w Warszawie w 1955 r., a kontynuował ją, jako Mazepa w inscenizacji Romana Zawistowskiego w tymże teatrze w 1958 r. Znakomicie mówił wiersz. Był wybuchowo uczuciowy i żarliwy, wręcz rozhisteryzowany i rozśpiewany w ujawnianiu swych przeżyć, marzeń i dążeń. W następnych latach miał odmieniać zestaw środków wyrazowych, jakimi się posługiwał, podejmując coraz nowe, często różniące się od siebie role, na scenach i przed kamerą.

Trela był aktorem charakterystycznym o niezwykłym talencie i głębokim poczuciu prawdy. Posługiwał się solidnym warsztatem psychologiczno-realistycznym, traktując przy tym każdą rolę ogromnie osobiście, ale potrafił osiągać niezwykłą ekspresję, która niejako wynosiła grane przez niego postacie ponad świat realizmu i codzienności. Jak pisała o nim przenikliwie Elżbieta Morawiec:

> Wielka Improwizacja [w *Dziadach*] to był akt zmagania się z

> Bogiem i z samym sobą (…) Był [Trela] rozedrganą struną najgłębszej ludzkiej wrażliwości – w wadzeniu się z Bogiem o los własny i los sponiewieranej wspólnoty. (E. Morawiec, *„Stary teatr jaki był 1945-2000″,* Arcana 2018, s. 133).

Jerzy Trela był przy tym pragmatykiem (co przekładał na zaangażowanie polityczne) oraz racjonalistą, a to stało się mocnym gruntem jego niezwykle owocnej współpracy z Konradem Swinarskim, w którego inscenizacji zagrał najpierw właśnie Gustawa-Konrada w *Dziadach* (1973) a potem Konrada w *Wyzwoleniu* (1974). Za jego jakby ponurą twarzą krył się człowiek ciepły, życzliwy, uważny, troskliwy.

Właśnie podjęcie tego największego i najtrudniejszego zadania jakie stawia polska dramaturgia – roli bohatera *Dziadów*, wpisało już na zawsze tych dwóch wielkich aktorów w historię polskiego teatru. Gogolewski wstąpił na szlak ciągnący się od prapremiery *Dziadów* przygotowanej przez Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie w 1901 r. poprzez najważniejsze bodaj i najwspanialsze dzieło teatru wolnej Polski, jakim były *Dziady* opracowane przez Leona Schillera, wyreżyserowane przez niego w Wilnie (1932), we Lwowie (1933) i w Warszawie (1934). Gogolewski kontynuował w ten sposób tradycję romantycznego ujęcia Gustawa-Konrada przez Stanisława Mielewskiego w Krakowie i przez Józefa Węgrzyna w Warszawie. Natomiast Trela

zapoczątkował nową tradycję: Konrada-Gustawa stąpającego twardo po ziemi, ale z wulkaniczną energią sięgającego nieba.

Ci dwaj wielcy aktorzy wpisali się na jedną kartę historii polskiego teatru właśnie swymi kreacjami w *Dziadach*. Sąsiadują także na innej karcie. W ciemnym czasie stanu wojennego i prowadzonej potem przez komunistyczne władze „normalizacji", a w rzeczywistości pacyfikacji Polaków – ostatecznie nieudanej – stanęli wtedy oficjalnie i publiczne po stronie wojskowo-partyjnej junty. Obaj, w niewielkiej grupie innych ludzi teatru, byli członkami powołanej wtedy Narodowej Rady Kultury (Por. *Teatr Drugiego Obiegu,* opr. Joanna Krakowska-Narożniak, Marek Waszkiel, Errata 2000, s. 82, Wikipedia i in.).



Jerzy Trela w realizacji: „Dziadów”, 18 lutego 1973 r., Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej, Kraków, fot. Wojciech Plewiński, źródło: Encyklopedia Teatru Polskiego

W tamtym czasie nie oglądałem ich, byli gdzie indziej. Znajdowałem się bowiem po przeciwnej stronie, tam gdzie trwała w swym oporze przeciwko stanowi wojennemu ogromna większość środowiska teatralnego, robiąc co tylko się dało na scenach, uczestnicząc w bojkocie masowych środków przekazu, tworząc przedstawienia teatru podziemnego. Jednakże po latach nadarzyły się okazje kontaktu.

Najpierw – było to już latach 1990., w czasie kolejnej wizyty w kraju, z którego zostałem wypchnięty w 1985 r. – spotkałem się z Jerzym Trelą. Byliśmy widzami jakiegoś przedstawienia. Zetknęliśmy się na przerwie. On podszedł do mnie i swoim niskim, surowym głosem powiedział – z trudem rekonstruuję jego słowa, niespodziewane i ogromnie dla mnie znaczące – powiedział mniej więcej tak: *Chciałbym, aby pan wiedział, panie Kazimierzu, że ja wtedy walczyłem o Pana. Gdy pana wyrzucili z wrocławskiego Teatru Współczesnego, gdy panu uniemożliwili uczenie w PWST. Byłem wtedy rektorem, prawda? Miałem dojścia. Nie udało mi się. Ale chcę, żeby pan to wiedział.*

Podziękowałem mu. Potem mocny uścisk dłoni. To moje ostatnie osobiste wspomnienie o Jerzym Treli, którego uprzednio tyle razy oglądałem na scenie w wielkich, znakomitych rolach.

W sporo lat później, takiż uścisk dłoni połączył mnie z Ignacym Gogolewskim. A było to tak, że akurat wychodziłem z biblioteki ZASP-u w Warszawie, gdzie szukałem jakichś materiałów do pisanej książki – i tam, na pierwszym piętrze, jest to jakby przechodnie pomieszczenie, z wejściami do innych – więc znalazłem się tam i nagle z naprzeciwka, z korytarza, ukazał się Gogolewski, który był wtedy, wiedziałem, prezesem ZASP-u. Zatrzymaliśmy się obaj. I obaj jakoś nie chcieliśmy się po prostu wyminąć, ale podeszliśmy do siebie. Ja, kiedyś dyrektor Teatru im. Osterwy w Lublinie, sceny niepokornej, i on, kilka lat później

dyrektor Teatru im. Osterwy w Lublinie, wtedy poplecznik władz. I znów nie pamiętam dokładnie jego słów, ale było w nich uczciwe rozliczenie naszych rachunków z tamtego czasu. On wiedział jak to było wtedy ze mną. I zdawał sobie sprawę, kim był wtedy on sam. Podaliśmy sobie dłonie. Uścisnęliśmy się mocno. To moje ostatnie osobiste wspomnienie o Ignacym Gogolewskim, którego uprzednio tyle razy oglądałem na scenie w wielkich, znakomitych rolach.

Oba razy to było dla mnie wielkie zaskoczenie. I doświadczenie jakże rzadkie.

Obaj ci wielcy aktorzy zajęli godne, znaczące miejsca w historii polskiego teatru. Gorąco pragnę, aby byli także pamiętani, jako dobrzy, serdeczni ludzie.



Powrót do życia



Fot. Daniel Reche, Pixabay

Katarzyna Szrodt *(Montreal)*

Człowiek jest niezwykle skomplikowaną i tajemniczą istotą. Nad sensem jego istnienia, skalą możliwości duchowych i intelektualnych, zastanawiano się od wieków. Wiedza i sztuki piękne zafascynowane tym fenomenem uczyniły człowieka tematem wiodącym, raz widząc go jako demiurga, raz jako ofiarę przemian dziejowych. Leonardo da Vinci wpisał człowieka w

koło, Dante w „Boskiej komedii” przeprowadził go przez niebo, czyściec i piekło, by doświadczył zaświatów, Szekspir pokazał rozpiętość ludzkich emocji i wyborów od najbardziej podłych po skrajną nadwrażliwość i niemoc sprostania wymogom życiowym. Balzac, nie mając o człowieku najlepszego mniemania, obnażył w „Komedii ludzkiej” egoizm i niskie instynkty wyzwalające się w walce o pozycję społeczną. Czechow w swoich sztukach potraktował zagubienie i słabości ludzkie niezwykle filozoficznie, pokazując, jak machina przemian społecznych niszczy wrażliwość.

Wiek XX zatrząsł światem – druzgotał i sponiewierał istotę człowieczeństwa. Teodor Adorno uważał, że „pisanie poezji po Auschwitz jest barbarzyństwem”. Mark Rothko doszedł w swoich malarskich poszukiwaniach do czarnych obrazów. Malując kolejny czarny obraz do świeckiej kaplicy w Houston popełnił samobójstwo. Jednak wśród ciemności, jaka zapanowała po wojnie, literatura szukała źródeł światła i nadziei. Albert Camus, nie godząc się na apatię i bierność życiową jednostki, w „Micie Syzyfa” postawił nam tytułowego Syzyfa za wzór, przekonując by nieustannie, jak Syzyf, ponawiać wysiłek wtaczania głazu życia pod górę. W „Dżumie” Camus przedstawił odmienne reakcje ludzkie na zagrożenie i śmierć, uważając, że: „Trzeba walczyć w taki czy inny sposób i nie padać na kolana. Dżuma polega na zaczynaniu od nowa”. Nieoczekiwanie, powieść Alberta Camus stała się scenariuszem, który zrealizował się w naszym życiu

dowodząc profetycznej roli literatury i przenikliwości talentu artysty, który ostrzegał że „bakcyl dżumy nigdy nie umiera i nie znika”.

Powracamy do życia po długim i trudnym dla nas wszystkich okresie izolacji. Pandemia uwięziła nas podwójnie – w domach i w lękach o życie nasze i najbliższych. Gdy wydawało się, że nic gorszego już nas nie spotka, wybuchła wojna na Ukrainie. Temat wojny przestał być rozdziałem z książki historycznej. Wojna i śmierć stanęły u naszych drzwi.

Jednak dziś, razem z naturą, odradzamy się wołając za poetą:

> Powróćcie do mnie, radości mej kolory… /Siegfried Sasson/

Żyjemy nadzieją, że najgorsze mamy już za sobą, że wirus słabnie i znów będzie można cieszyć się spotkaniami, wyjazdami, aktywnością towarzyską i kulturalną, by ubarwić codzienność przypominającą dziś koryto wyschniętej rzeki. Każdego dnia mamy nadzieję na zakończenie działań wojennych. Święto wiosny otwiera nas na energię natury, wyzwala w nas zachwyt, co tak trafnie ujął w słowa Guy de Maupassant:

> Doznaję czasami krótkich, dziwnych, gwałtownych objawień

> piękna, piękna nieznanego, nieuchwytnego, zaledwie zdradzającego się w pewnych słowach, widokach, pewnych zabarwieniach światła, pewnych sekundach. Nie potrafię ani dać ich poznać innym, ani wyrazić, ani opisać. Zachowuję je dla siebie.

Właśnie natura przychodzi nam teraz z pomocą, nie jako dekoracja, lecz planeta życia i sacrum, niosąc nam otuchę i siłę:

> strzeż się oschłości serca kochaj źródło zaranne
>
> ptaka o nieznanym imieniu dąb zimowy
>
> światło na murze splendor nieba… /Zbigniew Herbert/

Armia psychologów doradza nam dziś, na różne sposoby, jak uporać się ze smutkiem, apatią, depresją – konsekwencjami covidowej izolacji i codziennych złych informacji o stanie świata. Równie skuteczną jak psychologia rolę odgrywają sztuki piękne – literatura, muzyka, malarstwo. Warto się do nich odwołać by wyruszyć w podróż w poszukiwaniu piękna, harmonii, równowagi i radości – bo wszystko to możemy w nich odnaleźć. Nowoczesnemu światu brakuje szlachetności i piękna – rozproszeni jesteśmy na tysiące drobiazgów, jakby nasz świat,

jak szklana kula, rozbił się na drobne elementy, których nie umiemy złożyć w całość. A przecież dopiero wtedy osiągamy wewnętrzną harmonię i spokój, gdy nasz świat jest uporządkowany, gdy go rozumiemy i wpływamy na jego kształt.

Czy sztuka jest w stanie tchnąć w nas radość życia, dać nam poczucie sensu i wskazać dalszy kierunek naszej podróży? Wierzę, że tak, ale tylko z naszą pomocą, przy naszych nieustających wysiłkach i codziennym szukaniu źródeł światła, siły i radości w nas i wokół nas. Podróż do źródeł sacrum, składanie fragmentów świata w całość, wyłuskiwane tego, co najważniejsze, dobre i piękne:

> Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie
>
> Dwie tylko: Poezja i Dobroć…i więcej nic… /C.K.Norwid/

Zobacz też:

> Kartki z dziennika pandemii. Świat u kresu swojego istnienia.

Od marzeń do spełnienia



Izabela Zubko

Biorąc do ręki powieść Danuty Błaszak pt. „Fryzjerka 2. Miodem płyną rzeki”, zastanawiałam się na ile jest ona kontynuacją części pierwszej zatytułowanej „Fryzjerka. Na pokuszenie losu”. Czy pojawią się w niej kolejne intrygi i tajemnice? Czy nadal miłość, zdrada i niespełnienie będą stanowiły temat przewodni? Jaką wartość ma teraz pieniądz dla głównej bohaterki książki?

Wpleciony w życie Jolanty ciąg zdarzeń natury społecznej i osobistej dały mi odpowiedź na powyższe pytania zaledwie w jeden wieczór (bo tyle zajęła mi lektura tej publikacji). Ślub z Jakubem na zawsze odmienił życie kobiety i nic już nie było takie, jak wcześniej. Choć i w tej części znajdziemy liczne zawiłości ludzkiego losu, to są one ukazane w innym kontekście. Przede wszystkim zostały oparte na spełnionej miłości, na akceptacji samej siebie oraz przyjęciu przez otoczenie. A wsparcie i uznanie, jakie otrzymała od męża i jej rodziny, przyczyniły się do wewnętrznego rozwoju i wiary we własne siły. Ponadto pozwoliły na życie w zgodzie z własnym sumieniem i odwagę na realizowanie marzeń.

W książce znajdziemy wiele obserwacji i spostrzeżeń egzystencjalnych, co może stać się dla Czytelnika jego osobistym zbiorem przemyśleń. Bardzo szybko odnajdzie on w opisywanej przez Danutę Błaszak codzienności siebie oraz swoich bliskich.

Na szczególną uwagę zasługuje tu język, jakim posługuje się autorka. Dzięki niemu zarówno zabawne, jak i trudne, czy wręcz dramatyczne opisy czytamy z zapartym tchem.

Zarysom przeżyć bohaterów towarzyszy urokliwy krajobraz świętokrzyskich wsi. Wypełnia on świat skrajnych emocji: radości i smutku, zagubienia się i odnalezienia, namiętności i odrzucenia. Kolejnym uzupełnieniem doznań są przywoływane cytaty znanych w Polsce i na świecie literatów, ukazujące obraz ich lirycznego bądź prozatorskiego świata, który jednocześnie staje się tłem akcji, podobnie jak podniebne opowieści pilotów, a także relacje z pracy paramedyków.

Książka ta przedstawia analizę ludzkich zachowań mających miejsce nie tylko w okresie pandemii COVID-19. Ukazuje drogę do niezależności, zwraca uwagę na wzięcie odpowiedzialności najpierw za siebie, a potem za innych oraz kładzie nacisk na korzystanie z prawa do podejmowania samodzielnych decyzji dotyczących życia i przyszłości.

Danuta Błaszak, Fryzjerka 2 – Miodem płyną rzeki, NORBERTINUM, Lublin 2022, s. 200

*

Danuta Błaszak (Floryda, USA)



Danuta Błaszak

Z wykształcenia matematyk (teoria przestrzeni wielowymiarowych i nieskończoności), studia na Uniwersytecie Warszawskim. Również studia podyplomowe, dziennikarstwo (reportaż, dyplom u Krystyny Goldbergowej), a później pedagogika, Uniwersytet Warszawski. Valencia College, Major in English.

Formalny debiut poetycki w 1986 roku: wygrana w konkursie na udział w warsztatach literackich w Staromiejskim Domu Kultury; jednocześnie jej wiersze w tym samym roku zostały zaakceptowane przez tygodnik „Radar" (wyd. RSW Prasa-Książka-Ruch), gdzie zaczęła pisać regularnie krótkie recenzje oraz migawki z plenerów literackich. Jej pierwszy tomik z przedmową Adama Kowalskiego, redaktora „Radaru", nosił tytuł *Wiersze*. Kolejne tomiki wierszy to m.in.: *Tereska ze smutnego raju* (WKMS 1995); *Anegdoty liryczne* – tomik wydany przez NZS (Niezależny Związek Studencki, NURT, drugi obieg, 1989), *Kwiaty i wiersze* (DSP Publishing 2006), e-book *Brudnopis*

nowego tomiku, (Orlando 2020), (Inowrocław 2020). Oprócz tego udział w antologiach i druk w prasie literackiej.

Tłumaczka literatury pięknej, pisarka, poetka, laureatka nagród, m.in. lubińskiego Amora oraz Ikara – statuetki Wojsk Lotniczych i Obrony Kraju, za poezję lotniczą. Nagrody im. Agnieszki Osieckiej za cykl wierszy *Alonuszka*. Autorka powieści: *Oboje zbyt wrażliwi*, *Marzenia moje,* (Lublin 2021), (Lublin 2022); zbioru opowiadań *Assignments for Professor Orsini,* (Valencia College, Dreammee Little City 2005) oraz książek reportażowych, m.in. *Seks przez telefon, Plotki z Florydy, Group Home Recollections* (Bianka B. Bird), *Notatnik z autyzmu* – o amerykańskim ośrodku pomagającym ludziom dorosłym z autyzmem, książka redagowana przez Martę Berowską; *Mathematics vs. Poetry* – rozmowy z naukowcami o różnicach pomiędzy poezją a matematyką w postrzeganiu świata (Dreammee Little City 2005). Jednym z ważnych tematów reportażowych jest Pokolenie „Współczesności": książka reportażowa *Wywiady – spotkać „Współczesność"* oraz artykuły i publikacje książkowe dotyczące Pokolenia „Współczesności" redagowane wspólnie z Anną Marią Mickiewicz.

Promuje polską literaturę, m.in. poprzez serię wydawniczą *Contemporary Writers of Poland* w języku

angielskim, współredaktor: Anna Maria Mickiewicz, grafika: Agnieszka Herman (poetka i grafik), współpraca: Alicja Kuberska. Do udziału w książkach zapraszani są pisarze polskiego pochodzenia oraz wybitni poeci z całego świata. Razem z Anną Marią Mickiewicz opublikowała w tej serii książki: *Poeci zza oceanu* i (Londyn 2020).

Zobacz też:

> Fryzjerka 2 – druga część powieści Danuty Błaszak

Między nauką a literaturą

Rozmowa z profesorem Stanisławem Sławomirem Nicieją



Prof. Stanisław Nicieja w słynnym przedwojennym uzdrowisku Truskawiec podczas kręcenia filmu o tym mieście

Aleksandra Ziółkowska-Boehm *(Wilmington, Delaware)*:

Jest Pan postacią – nie waham się nazwać – niezwykłą. Kustosz pamięci, historyk, badacz, biografista, publicysta, wizjoner, autor filmów dokumentalnych, działacz społeczny. Ma Pan okazały dorobek naukowy, kulturalny, publicystyczny. Jest Pan autorem wielu znanych prac naukowych a także reportaży historycznych. Otrzymał Pan

liczne nagrody, odznaczenia i medale.

Stanisław Nicieja *(Opole):*

Jest mi bardzo miło wysłuchać tak wysokiej oceny moich działań zarówno organizacyjnych, jak i naukowych. Naturalnym oczekiwaniem człowieka jest, aby jego praca i działanie społeczne było zauważalne. Jednak pech czasem sprawia, że wiele osób mogących szczycić się swymi ważnymi, a nierzadko wybitnymi osiągnięciami, pozostaje w cieniu, a ich osiągnięcia anonimowe bywają przypisywane innym. Myślę, że jestem dzieckiem szczęścia, ponieważ moje działania i funkcjonowanie społeczne w różnych środowiskach było i jest zauważane i wyróżniane. I to jest doping do pracy i działalności społecznej, gdyż bez uznania środowiska nie ma satysfakcji. Brak akceptacji paraliżuje wszelką inicjatywę. Uważam, że los mi wyjątkowo sprzyja. Akceptowanie tego, co czynię, wpływa na stymulację mych działań.

Opole jest Panu bliskie od lat studenckich, skończył Pan tu studia historyczne, uzyskał doktorat, habilitację, profesurę.

Urodziłem się na Dolnym Śląsku i bliżej było mi pójść na studia do Wrocławia – dużej aglomeracji miejskiej i wielkiego centrum naukowego, z bardzo prestiżowym uniwersytetem, na którym po

wojnie wykładała kadra przedwojennego Uniwersytetu Lwowskiego, i to o tak dużych nazwiskach, jak choćby Hugo Steinhaus, Ludwik Hirschfeld, polonista Mieczysław Klimowicz czy historycy, Ewa i Karol Maleczyńscy. Ja wybrałem mniejszy ośrodek, Opole, głównie z tego względu, że tam odbywał się Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej. A był to czas wielkiej eksplozji polskiego *rock end rolla*, kolorowych hipisowskich zespołów, które grały w stylu bitlesowskim. Było ich wiele. Bliska mi była wówczas filozofia hipisów. Nosiłem długie włosy, buty bitlesówki i koszulę w kwiaty. Opole miało swoisty klimat. Wybrałem je, aby na co dzień być w pobliżu słynnego amfiteatru, wypełnionego w letnie dni artystami.

Na Uniwersytecie Opolskim przez cztery kadencje pełnił Pan funkcję rektora. Był Pan także dyrektorem Instytutu Historii, był Pan też senatorem Rzeczypospolitej V kadencji. W Opolu nowa siedziba Uniwersytetu w dużej mierze jest Pana zasługą, przyczynił się Pan także do przekształcenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Uniwersytet.

Opole jest miłym miastem, takim polskim Heidelbergiem – nie za dużym, nie za małym. Leży na dobrym szlaku. Blisko stąd do dużych aglomeracji – Wrocławia czy Katowic: godzina drogi samochodem. Miasto jest kameralne, ma wdzięk. Ładną architekturę, piękny Rynek z kamieniczkami i ratuszem w stylu

florenckim. Uczelnia, którą wybrałem, od początku miała klimat serdeczności i przyjaźni. Były na niej partnerskie relacje między kadrą profesorską a studentami. Kampus uniwersytecki zamknięty w trójkącie trzech ulic ciągle się rozbudowywał. I po studiach włączyłem się w ten proces. A mając szczęście do ludzi i ważnych przyjaźni stałem się z czasem jednym z liderów tego środowiska, więc powierzano mi funkcje kierownicze – w Instytucie Historii, a później całej Uczelni. Żeby rozbudować mój uniwersytet musiałem wchodzić w relacje polityczne, czasem ryzykowne, ale dające możliwości skutecznego zdobywania finansów na rozbudowę kampusu uniwersyteckiego: na wielomilionowe inwestycje oraz ściąganie wartościowej kadry naukowej. Obiekty, które powstały w czasie moich czterech kadencji rektorskich, kosztowały około 190 milionów złotych. Były to m.in.: Collegium Maius, Collegium Minus, Collegium Civitas i inne.



Prof. Stanisław Nicieja w gronostajach rektorskich. Funkcję rektora Uniwersytetu Opolskiego pełnił przez cztery kadencje w latach 1996-2016. Jest uważany za jednego z głównych twórców opolskiej Alma Mater.

Przyjemnie jest być od lat związanym z jedną uczelnią?

Uważam, że tak. Chociaż w Ameryce może to brzmi dziwnie, że nie zmienia się co pewien czas uczelni. Jestem monogamistą. Od pół wieku związany jestem z jedną kobietą i z jednym miejscem pracy, z mocno rozgałęzionymi przyjaźniami w tym miejscu. Co

nie znaczy, że z tego kokonu uniwersyteckiego nie wyrywam się co pewien czas w świat. Mogę nawet powiedzieć, że jestem globtroterem, bo przejechałem całą Europę wzdłuż i wszerz – od Lizbony po Sankt Petersburg, od Belgradu po Sztokholm. Byłem na wielu uniwersytetach w Europie, Azji i Australii, m.in. w Berlinie, Hanowerze, Singapurze, Tajpej i Perth. No i wielokrotnie przemierzyłem całe Kresy – od Kiejdan i Wilna po Stanisławów i Kołomyję. Miałem dotychczas przynajmniej 1000 spotkań autorskich, głównie w Polsce, ale i w Europie, w tym w lwowskim Ossolineum, londyńskim POSK-u czy Bibliotece Polskiej w Paryżu.

Opole – dzięki Pana staraniom – zostało wzbogacone niezwykłymi rzeźbami. Wzgórze Uniwersteckie w Opolu ozdobiły rzeźby Henryka Hartmanna „Cztery pory roku”. Ustawiono tam m.in. kolumnę Maryjną, figurę św. Krzysztofa z Dzieciątkiem, Chrystusa, św. Wojciecha. Także wmurowano tablicę poświęconą Janowi Pawłowi II.

Każde miasto uniwersyteckie powinno mieć jakąś specyfikę, jakiś wyróżnik, coś, co jest swoistym emblematem kojarzącym się z tym miastem. I kiedy w 1994 roku tworzyliśmy w Opolu Uniwersytet, i kiedy zostałem liderem tego środowiska zdecydowałem jako rektor, że główny budynek uniwersytecki, Collegium Maius (który wówczas był opuszczoną ruiną po dawnym klasztorze dominikańskim), powinien wrócić do dawnej

świetności. Uważałem, że nie tylko jego wnętrza: sale z pięknymi plafonami, refektarz, gabinety dziekańskie i korytarze mają odzyskać duch baroku oraz klasycyzmu, ale też jego otoczenie – wzgórze, na którym ten dawny klasztor został wzniesiony powinno wyróżniać się piękną rzeźbą barokową, neogotycką i współczesną. Ponieważ w podopolskich wsiach, gdzie były poniemieckie pałace i parki krajobrazowe znajdowało się wiele poniszczonych rzeźb, udało mi się za zgodą konserwatorów zabytków przewieźć je do Opola, odrestaurować i umieścić przy ścieżkach na Wzgórzu Uniwersyteckim, co spowodowało, że miejsce to stało się niezwykle atrakcyjne. Stało się swoistym muzeum rzeźby na wolnym powietrzu.



Rektor prof. Stanisław Nicieja wręcza Danielowi Olbrychskiemu – wybitnemu polskiemu aktorowi, dyplom doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego

Opole znane jest z corocznego (od 1963 roku) Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej. Dzięki Panu – na Wzgórzu Uniwersteckim powstały pomniki – Agnieszki Osieckiej, Czesława Niemena, Marka Grechuty, Jerzego Grotowskiego, Jeremiego Przybory, Jerzego Wasowskiego, Jonasza Kofty, Wojciecha Młynarskiego.

Dotyka tu Pani fenomenu polskiej kultury lat 60. i 70. XX wieku. Wtedy to stworzono Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej (takie polskie San Remo czy Woodstock), który był dla mnie – jak już wspomniałem wyżej – magnesem do podjęcia studiów humanistycznych właśnie w Opolu. Był to czas, kiedy w opinii poety Jeremiego Przybory: „Polska stała się europejskim imperium piosenki artystycznej na najwyższym poziomie". Tworzyli wtedy i przyjaźnili się ze sobą Agnieszka Osiecka, Wojciech Młynarski i Jonasz Kofta, a rywalizowali z nimi o palmę pierwszeństwa nie mniej znakomici poeci, by wspomnieć tylko Leszka Aleksandra Moczulskiego, Janusza Kondratowicza, Jacka Cygana czy Magdę Czapińską. Muzykę do wierszy tej plejady poetów tworzyli m.in. Seweryn Krajewski, Andrzej Korzyński, Włodzimierz Nahorny i Włodzimierz Korcz. Ich utwory wykonywali tacy mistrzowie estrady i wokalistyki, jak choćby Czesław Niemen, Maryla Rodowicz, Ewa Demarczyk, Stan Borys,

Michał Bajor, a także Łucja Prus.

Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu, na którym triumfy odnosili wyżej wymienieni artyści, był jednym z centralnych wydarzeń w polskiej tzw. kulturze wysokiej. Na każdym festiwalu w latach 60. i 70. wyróżniano kilka piosenek, które natychmiast stawały się przebojami i do dziś są powszechnie znane. Ponadto polscy artyści i piosenkarze zaczęli pisać muzykę do wierszy najwybitniejszych polskich poetów: Niemen do poezji Norwida i Iwaszkiewicza, Grechuta do poezji Mickiewicza i Wyspiańskiego, Ewa Demarczyk śpiewała wiersze Tuwima, Baczyńskiego i Białoszewskiego. To była rzecz niebywała. Nakłady płyt były milionowe. Zostawiło to wielki ślad w polskiej kulturze. Na tej twórczości wychowały się całe pokolenia młodych Polaków. W latach 90. XX wieku poziom festiwalu opolskiego obniżył loty, skomercjalizował się i dziś nie odgrywa już istotnej roli w polskiej kulturze. Chcąc dać wyraz artystyczny i podkreślić znaczenie ludzi i tamtych wydarzeń postanowiłem na Wzgórzu Uniwersyteckim, w okalającym go parku, wśród zieleni, przy alejkach wznieść pomniki portretowe artystów, których Pani wymieniła, bo byli najwięksi z twórców tej złotej epoki w dziejach polskiej piosenki artystycznej.

Na pewno nie tylko mieszkańcy Opola cieszą się tymi rzeźbami.

Pomysł postawienia rzeźb na Wzgórzu Uniwersyteckim okazał się trafny, bo dzisiaj jest to miejsce kultowe. Nie ma dnia, aby nie było tam wycieczkowiczów z całej Polski, którzy zatrzymują się przy pomnikach dawnych swych idoli, takich jak Niemen czy Grechuta, siadają przy nich na ławeczkach, robią fotografie.

Urodził się Pan w Strzegomiu, rodzice pochodzili z Małopolski, okolic Wadowic i Kalwarii Zebrzydowskiej.

Strzegom – nazywany jest polskim Chartres – to piękne dolnośląskie miasteczko, stolica kamieniarzy – kiedyś niemieckich, dziś polskich. Jest tam kilkanaście dużych kamieniołomów granitu i bazaltu. Stąd bogactwo tego miasta w postaci wspaniałych świątyń: gotyckiej, jednej z największych w tej części Europy bazylik i barokowego kościoła ewangelickiego. Miasto było poważnie zniszczone w czasie wojny, ale jego zabytki częściowo odbudowano. Moi rodzice osiedli tam w 1945 roku, gdy ze Strzegomia usunięto Niemców. Przyszli z ziemi wadowickiej, gdzie jest kolebka rodu Niciejów. Mój stryj, Franciszek Nicieja, urodził się dwa dni wcześniej niż ojciec święty Jan Paweł II. W księdze parafialnej w Wadowicach zapisani są na tej samej stronie informującej o dniu ich urodzenia i rodzicach chrzestnych.

Głównym Pana tematem badawczym są Kresy Wschodnie. Pasja i miłość do Kresów zaczęła się w 1978 roku, kiedy

znalazł się Pan we Lwowie i nim się zachwycił. Proszę przybliżyć ten początkowy okres zainteresowania Kresami.

Moje książki związane z historią Kresów, to moja wielka przygoda intelektualna, która niespodziewanie pojawiła się w moim życiu i dała mi ogromną satysfakcję. A trwa to już 40 lat. Do Lwowa trafiłem dość przypadkowo tuż po studiach, z kolegą z uczelni, który wziął mnie na urlop do Lwowa, bo tam miał swoją rodzinę. Nie miałem o tym mieście większego pojęcia, wszak temat lwowski był w PRL-u w dużej mierze tematem tabu. Podczas tego pierwszego, krótkiego pobytu we Lwowie w lipcu 1978 roku uległem fascynacji tym miastem nazywanym „małym Wiedniem”: jego położeniem i architekturą.



Prof. Stanisław Nicieja przy nagrobku Orlęcia – Konrada Domiszewskiego na słynnym Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie

Był Pan – jako senator – ekspertem przy odbudowie Cmentarza Orląt Lwowskich. Pana książki: „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786-1986” (Wrocław 1988) i „Cmentarz Obrońców Lwowa” (Ossolineum 1990) przyniosły nagrody i uznanie czytelników.

Ta fascynacja Lwowem zaczęła się od Cmentarza Łyczakowskiego – jednej z najpiękniejszych nekropolii na

świecie, porównywalnej z paryskim Père Lachaise, londyńskim Highgate Cementery czy rzymskim Campo Verano. Na Łyczakowie spoczywa kwiat polskiej inteligencji – ludzie kultury, nauki i gospodarki. Cmentarz ma ponad 200 lat, a swoje rzeźby nagrobne zostawili tam artyści formatu światowego – Niemcy, Polacy, Austriacy i Włosi, tacy jak Hartmann Witwer, Anton Schimser, Abel Marie Périer, Parys Filippi, Leonard Marconi czy też Antoni Kurzawa i Luna Drexlerówna. Na tym cmentarzu wykonałem 12 tysięcy zdjęć, w czasach Breżniewa, gdy cmentarz był zaniedbany, w dużej części zdewastowany i nikt nie przypuszczał, że Związek Sowiecki upadnie. Swoją monografię o cmentarzu Łyczakowskim pisałem w okresie stanu wojennego, do szuflady. A gdy przyszedł czas, kiedy w Polsce zelżała cenzura, moja książka o łyczakowskiej nekropolii, wydrukowana przez Ossolineum, stała się sensacją. Nazwano ją nawet literaturą pieriestrojkową. Wyszła w nakładzie 300 tysięcy egzemplarzy. Przełamała mur milczenia o Lwowie. Stała się Książką Roku 1989 i dostałem za nią kilka prestiżowych nagród, w tym londyńskiej Fundacji Kulturalnej im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego. Monografia łyczakowska miała kilkaset pozytywnych recenzji, także na Ukrainie, i uczyniła mnie rozpoznawalnym wśród polskich historyków. Dzięki niej mogłem osobiście poznać tak wybitnych lwowian, jak Stanisław Lem, Wojciech Kilar, Adam Hanuszkiewicz, Andrzej Hiolski, Alfred Jahn czy Kazimierz Górski, i bywać w ich domach. Mogłem poznać lwowian żyjących jeszcze wówczas nie tylko we

Wrocławiu, Krakowie czy Warszawie, ale też w Londynie i Paryżu. Jerzy Janicki – wybitny scenarzysta i piewca Lwowa nazwał mnie wówczas „adoptowanym dzieckiem Lwowa".

Cmentarz Łyczakowski jest jednym z najstarszych obecnie istniejących europejskich cmentarzy (młodsze od niego są: Rakowicki w Krakowie, Powązki w Warszawie, Père-Lachaise w Paryżu). Na Cmentarzu Łyczakowskim leżą wielcy Polacy (m.in. Maria Konopnicka, Gabriela Zapolska, Artur Grottger, Stefan Banach). Cmentarz Obrońców Lwowa, znany jako Cmentarz Orląt, stanowi wydzieloną część Cmentarza Łyczakowskiego. Na Cmentarzu Orląt spoczywają Polacy polegli w obronie Lwowa w czasie wojny polsko-ukraińskiej w latach 1918-1919 i w czasie wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r. Pochowanych jest tam blisko 3 tys. żołnierzy, głównie chłopców – stąd nazwa Cmentarz Orląt. Jaka była Pana rola w ratowaniu tego cmentarza?

Po sukcesie książki o Cmentarzu Łyczakowskim, w której jeszcze ze względów cenzuralnych musiałem pominąć wątek Orląt Lwowskich, postanowiłem – a był już rok 1990 i o losach Polski decydowała „Solidarność" – wypełnić białą plamę i napisać historię Orląt. Zająłem się wówczas odtworzeniem dziejów Cmentarza Obrońców Lwowa. I właściwie napisałem drugi tom poprzedniej książki, szczegółowo opisując ponad 3 tysiące

zmarłych obrońców Lwowa, którzy spoczywali w sprofanowanej jeszcze wówczas przez sowieckie czołgi kwaterze Orląt. Wtedy też, a był to czas – jak już wspomniałem – pierwszych rządów „Solidarności" w Polsce, moja książka o Cmentarzu Orląt stała się jedną z merytorycznych podstaw służących odbudowie tej kwatery cmentarnej. Byłem w grupie ekspertów przygotowujących dokumentację odtworzenia i renowacji Cmentarza Orląt.

Zbiegło się to z moim senatorstwem. Nigdy nie czułem się politykiem. Byłem historykiem-badaczem, ale miałem przekonanie, że bez włączenia się w działalność polityczną moje pomysły będą miały ograniczoną skalę oddziaływania i realizacji. Mam więc satysfakcję, że byłem jednym z uczestników odbudowy Cmentarza Orląt i dostąpiłem wyróżnienia, mogąc w 2005 roku uczestniczyć w otwarciu odbudowanego Cmentarza Orląt we Lwowie. Jako senator RP stałem w pobliżu miejsca, gdzie prezydenci Polski – Aleksander Kwaśniewski i Ukrainy – Wiktor Juszczenko oficjalnie przecięli wstęgę i udostępnili ten cmentarz rodzinom obrońców i pragnącym po latach złożyć hołd walczącym o polski Lwów. Uroczystość na żywo relacjonowały polskie i ukraińskie media, w tym państwowe telewizje. Moja książka o Cmentarzu Orląt była mocno popularyzowana w kraju i na emigracji jako zapis historii tej wojskowej nekropolii i tragicznych losów, które przetoczyły się przez Lwów w pierwszej połowie XX wieku.



Prof. Stanisław Nicieja na rynku w Zamościu z Jerzym Hoffmanem – reżyserem, który zekranizował całą „Trylogię” Henryka Sienkiewicza

Niezwykłą Pana pracą jest seria tomów „Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych”. Seria ta wzrusza, budzi podziw, wywołuje uczucia, chroni od zapomnienia. Przywołuje Pan wiele postaci – świadków historii, pokazuje przeszłość i teraźniejszość. Tyle pasji… uprawia Pan biografistykę, łączy Pan szczęśliwie naukę z literaturą i historią.

Książki o Lwowie, a głównie o jego nekropoliach, których napisałem kilka, ugruntowały moje zainteresowanie Kresami, bo ci, którzy byli wybitnymi lwowianami opisanymi przeze mnie w monografiach cmentarnych, pochodzili często z miasteczek kresowych. Postanowiłem więc pokazać ich rodowody. I wówczas odkryłem tematykę, która dała mi szeroki lot. Uświadomiłem sobie, że Polska w wyniku II wojny światowej, przesunięta jak klocek na mapie Europy o 250 kilometrów na zachód, znad Zbrucza, Horynia i Dźwiny nad Odrę i Nysę Łużycką, straciła w wyniku układów jałtańsko-poczdamskich ponad 200 miast, tysiące wsi, setki kościołów, klasztorów, cmentarzy, tysiące dworów i pensjonatów. Postanowiłem więc opisać historie tych miejscowości, tych zabytków, tych ludzi, po których w wyniku tragicznych wydarzeń wojennych zostały tylko wypłowiałe fotografie, garść wspomnień i wielkie sentymenty czy resentymenty.

W miejscach, gdzie żyli, gdzie stały ich domy, warsztaty czy fabryki dzisiaj są tam często tylko chaszcze, zarośla, gruzowiska, albo nie ma po tych budowlach nawet śladu. Rezydencje pałacowe, świątynie, dwory, hotele, parki i ogrody zostały unicestwione przez pożogę wojenną niczym mityczna Atlantyda, zostały zmiecione z powierzchni ziemi w czasach bratobójczych walk. Nie spodziewałem się, że reakcja na to moje nowe wydawnictwo będzie tak duża i że recepcja książek z tej serii będzie tak akceptowalna i wywoła lawinę informacji, która drogą

mailową, pocztową i telefoniczną popłynęła na mój adres. Otrzymałem tysiące zdjęć, dokumentów, wspomnień, różnego typu informacji, które płynęły od ostatnich świadków usuniętych z Kresów w wyniku ekspatriacji oraz od ich późnych wnuków. W ten sposób powstało moje nowe, ogromne archiwum właściwie wywołane przez tę serię książek noszących tytuł „Kresowa Atlantyda”.



Ryszard Kapuńsiński w gościnie u Haliny i Stanislawa Niciejów w ich dworku „Niciejówka” w Pępicach

Ukazało się już 17 tomów, w przygotowaniu są następne. Jakie będą tematy kolejnych tomów „Kresowej Atlantydy”?

Tych 17 tomów to ponad 5 tysięcy stron tekstu i około 5 tysięcy dokładnie opisanych fotografii miejsc i ludzi. W tych tomach zawarte są biografie głównie polskich i żydowskich mieszkańców ziem utraconych, ale też historie ich późnych wnuków. Bo staram się w mych książkach pokazać nie tylko kim byli babka, dziadek czy pradziadkowie mieszkający we Lwowie, Stanisławowie, Grodnie lub Wilnie, ale jakie losy są ich potomków – wnuków czy prawnuków, którzy znaleźli się w powojennym Wrocławiu, Szczecinie, Zielonej Górze, Legnicy, Strzegomiu czy Koszalinie. Czy utrzymali poziom materialny i intelektualny swych przodków, czy go zmarnowali bądź rozbudowali? Czy pamiętają o swoich korzeniach? To jest esencja moich książek – ogromna warstwa biograficzna. Ciągle powtarzam i podkreślam, że historię tworzą konkretni ludzie ze swoimi talentami i dokonaniami. Szukam w ich życiorysach barw kulturowych i cywilizacyjnych. Przeplatam ich biografie anegdotami, literackimi opisami, poezją i rejestruję ich dokonania. I tu dopatruję się akceptacji tej serii książek, bo w sumie nakład „Kresowych Atlantyd" dochodzi już do 200 tysięcy egzemplarzy. I dla wielu rodzin poszczególne tom stały się… biblią rodzinną, są dokumentacją ich korzeni cywilizacyjnych i kulturowych.

Posuwam się w swej pracy jak japoński pracoholik – co pół roku kolejny tom „Kresowej Atlantydy", a w nim 4-7 miejscowości, z opisem biografii kilkuset rodzin, zilustrowanych ich osobistymi zdjęciami. Pracuję obecnie nad 18. tomem – historią wołyńskich

miasteczek: Mizocz, Zdołbunów, Równe i Włodzimierz Wołyński. Przywołuję historie rodzinne takich Kresowian, jak choćby Jerzego Antczaka z Włodzimierza Wołyńskiego – słynnego twórcy ekranizacji powieści „Noce i dnie" Marii Dąbrowskiej, Jonasza Kofty – poety, twórcy wspaniałych ballad, autora wielkiej pieśni „Pamiętajcie o ogrodach"; czy też – pisząc o Równem – przywołuję jedną z legendarnych postaci „Solidarności" – Annę Walentynowicz, która też ma wołyński rodowód.

Ma pan szczęście do ludzi... Pisze Pan, że te tomy „Kresowej Atlantydy" nie mogłyby powstać bez udziału setek potomków rodzin Kresowian, którzy przysyłają Panu dokumenty, fotografie, wspomnienia.

Tak, to moje wielkie szczęście, że przez swoje książki pozyskałem zaufanie. I to, że ludzie odkrywając przede mną najskrytsze tajemnice, nie lękali się, że ich historie strywializuję, że będę surowym sędzią czynów i dokonań ich przodków. Jest to ważne dla mnie w czasach, gdy ludzie boją się lustracji i obnażania politycznego – ten lęk rozlewa się po współczesnej Polsce w czasie irracjonalnych podziałów, zwłaszcza gdy historia jest wykorzystywana do walki politycznej i potępiania inaczej myślących. Dopóki będę miał zaufanie ludzi, że nie spożytkuję źle i koniunkturalnie ich rodzinnych faktografii, kolejne tomy będą powstawać i wierzę, że będą mieć akceptację czytelniczą.

Pisze Pan nie tylko o sławnych postaciach, ale pokazuje życie lekarzy, księży, nauczycieli, działaczy społecznych.

Dotyka Pani istoty sprawy. Nie uważam bowiem, że historię tworzą tylko ludzie z pierwszych stron gazet – politycy, premierzy, generałowie, kardynałowie, biznesmeni. Uważam, że historię tworzymy wszyscy. Tylko jedni z nas tworzą historię całego narodu, a inni historię lokalną czy mini historię swojej rodziny, miasteczka czy przysiółka. Nie jest ważne, jaką funkcję człowiek pełnił, tylko to, co po sobie zostawił. Czasem polityk o randze senatora, generała czy ministra okazywał się szkodnikiem społecznym, i zdarzało się, że wpływał destrukcyjnie na toczące się wydarzenia. Dlatego też pokazuję np. postacie charyzmatycznych proboszczów, którzy umieli wokół siebie skupiać ludzi, inspirować ich do twórczej pracy i odgrywali częstokroć ważniejszą rolę od arcybiskupa, który nie miał takiej osobowości. W poszczególnych tomach „Kresowej Atlantydy” są dziesiątki biografii nauczycieli, notariuszy, prawników, działaczy harcerskich, członków stowarzyszeń katolickich czy sportowych, różnych hobbystów, kolekcjonerów i wynalazców, którzy zostawili niezwykłe owoce swej działalności. I najważniejsze – ludzką wdzięczność. Byli solą tamtej ziemi.



Stanisław i Barbara Lemowie w towarzystwie Haliny i Stanisława Niciejów, Kraków 1999 r.

Ocala Pan od zapomnienia, przypomina, że państwo polskie miało zmieniające się granice – od Bałtyku po Morze Czarne, od Śląska po Żmudź i Inflanty. Przypomniał Pan – że historia Polski obejmuje zmianę obszarow, pokazał naszą bogatą spuściznę kulturową.

Piszę o fenomenie polskiej historii. Istniejące od ponad tysiąca lat państwo polskie tym wyróżnia się od innych państw europejskich, że nie miało przez całe stulecia tych samych granic, tak jak np. Hiszpania leży od wieków w tym samym miejscu (między Portugalią a Pirenejami). Podobnie Francja,

Włochy, nie mówiąc już o Anglii, Holandii czy Norwegii. A Polska na przestrzeni wieków miała pulsujące granice. Inny kształt miała w czasach piastowskich, inny w czasach jagiellońskich, inny za Wazów i Sasów. Był czas, że zniknęła z mapy Europy i odrodziła się gdzieś nad rzekami Zbrucz, Niemen, Czremosz, i miała wówczas w swych granicach Wilno i Lwów, a po kilkudziesięciu latach miała już w swych granicach dawne miasta niemieckie – Szczecin, Wrocław czy Opole, a Lwów i Wilno były już w innych państwach. Pisanie więc o Polsce w granicach państwa, w którym obecnie mieszkam, byłoby wycięciem sobie przynajmniej połowy mózgu. Bo gdzie urodził się Piłsudski, Paderewski, Miłosz, Herbert czy Lem. Poza granicami państwa, w którym żyję. A więc pokazuję, jak szeroko sięgały swoimi wpływami polskie rodziny i rody, gdzie budowały swoją wielkość i co traciły. Był czas, gdy Polska z lennami miała obszar ok. 1 milion 200 tysięcy kilometrów kwadratowych, a dziś ma 312 tysięcy km^2, czyli czterokrotnie mniej. I właśnie o tym m.in. piszę w „Kresowej Atlantydzie”.

Pisał Pan o kresowym Trójmieście: Truskawcu, Drohobyczu i Borysławiu; o dziejach Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola, Drohobycza. Borysławia, Kołomyi, Krzemieńca, Łucka, Pińska, Śniatyna, Stryja, Złoczowa… Nie pomija Pan także mniejszych miejscowości, o których nie wspomina się często.

Wymieniła Pani najważniejsze miasta i ośrodki przemysłowe, które dotychczas opisałem w swoim cyklu kresowym. Tam jest esencja faktograficzna dla moich opisów. Ale przy tych dużych skupiskach miejskich, bądź nieopodal nich były małe miejscowości, wsie czy przysiółki, z których wyszli niepospolici ludzi. I nim stamtąd wyszli, byli twórcami ważnych faktów, mieli tam swoje dwory, manufaktury, pracownie artystyczne, miejsca spotkań towarzyskich. I to dla mnie było i jest też przedmiotem pracy badawczej.

Pisał Pan o „polskim Londynie", przywoływał postaci Mariana Hemara, Władysławy Majewskiej...

W mojej biografii twórczej jest też ważny epizod londyński. W sumie nad Tamizą, dzięki Fundacji Lanckorońskich oraz pomocy Tadeusza Zabłockiego (urodzonego w Kijowie), Józefa Baranieckiego, Stefanii Kossowskiej i Władysławy Majewskiej (urodzonych we Lwowie), spędziłem w Londynie w sumie około rok. Penetrowałem polskie cmentarze w londyńskich dzielnicach, korzystałem z Biblioteki Polskiej i archiwaliów Instytutu Sikorskiego i wówczas powstały moje eseje o Hemarze, prezydentach Ryszardzie Kaczorowskim, Edwardzie Raczyńskim i Kazimierzu Sabacie, o twórcy polskiej kliniki lekarskiej w Londynie – Emilu Niedźwirskim, o dziennikarzu i publicyście – Karolu Zbyszewskim oraz duża monografia pt. „Z Kijowa na Piccadilly" o rodzinie Zabłockich. Na łamach londyńskiego

„Tygodnia Polskiego” i „Orła Białego” opublikowałem kilkadziesiąt artykułów, głównie o ludziach „polskiego Londynu”.



1Rodzina Niciejów (od prawej): Halina i Stanisław, ich córki – Wisłomira i Ariadna, synowa Małgorzata oraz wnuki – Tycjan i Owidiusz

Wiele Pan zawdzięcza małżeństwu z Haliną (z domu Romuzga), która jest naukowcem matematykiem. Znają się Państwo od czasów szkolnych, razem odwiedzali Wołyń, Podole i Galicję Wschodnią. Działają Państwo wspólnie – i są tego wspaniałe wyniki.

Miałem życiowe szczęście, spotykając na progu mych

zainteresowań inną płcią, bo już w pierwszej klasie liceum, kobietę mego życia – o niezwykłej urodzie i zdolnościach intelektualnych. Jesteśmy symbiozą. Od 50 lat pracujemy razem, uzupełniamy się. Ja mam naturę rozwichrzoną, emocjonalną, ona stonowaną i pragmatyczną. Mnie ponosi temperament, ona mocno stoi na ziemi. Mogę powołać się na przykład Jerzego Antczaka – znakomitego polskiego reżysera, który pisząc o swoim małżeństwie z Jadwigą Barańska wybitną aktorką, stwierdził, że spotkało go szczęście, iż mając naturę impulsywną jak wulkan i zmienną w nastrojach, ma żonę zorganizowaną „jak kancelaria III Rzeszy". Podobnie jest w moim małżeństwie. Pragmatyzm żony stabilizuje moje życie. Przemierzyliśmy Kresy wzdłuż i wszerz. Nakręciliśmy wspólnie kilkadziesiąt filmów. Zbudowaliśmy dwa domy – w Opolu i wiejski dworek w Pępicach, na granicy Górnego i Dolnego Śląska. Wykształciliśmy i wyposażyliśmy trójkę dzieci. W obu domach są duże księgozbiory i ogromne archiwa dokumentów kresowych. To wspólne pisanie i redagowanie książek może trwać tak długo, dopóki będziemy sprawni i zdrowi – i ja, i żona.

Ukazały się także dwa tomy Księgi Jubileuszowej, które ofiarowano Panu w 45-lecie pracy naukowej i organizacyjnej: „Dowód Istnienia" i „Nicieja – dziejopis – komentator i polemista – mistrz słowa". Piękna to rocznica, prawda?

Jest w Polsce piękna tradycja uniwersytecka, że z okazji jubileuszu uniwersytet obdarowuje swego profesora księgą pamiątkową. I mój uniwersytet wydał taką dwutomową księgę zredagowana przez moich uczniów-profesorów – Danutę Kisielewicz i Mariusza Sawickiego. Zamieszczono tam prawie pełną bibliografię moich prac – ponad 40 książek i około 1000 artykułów, zebrano wypowiedzi na mój temat, m.in. tak wybitnych postaci, jak Stanisław Lem, Ryszard Kapuściński, Wiesław Myśliwski, Jerzy Janicki, Janusz Majewski czy Andrzej Mularczyk. Ozdobiono tę księgę ponad 600 fotografiami, z postaciami, z którymi miałem kontakt osobisty. Spotkał mnie zaszczyt udokumentowania przez uniwersytet mego dorobku życiowego. Te dwa tomy księgi jubileuszowej są rzeczywiście „dowodem mego istnienia" (jest to cytat z sentencji, która jest wypisana na frontonie mego dworku „Niciejówka" w Pępicach. Sentencja ta brzmi: „Gdy cię spytają, jaki jest dowód twego istnienia, co odpowiesz?") Więc ta księga jubileuszowa jest takim dość precyzyjnym dowodem mego istnienia na powojennym Śląsku i w Opolu. A może i szerzej?



Prof. Stanisław Nicieja z wydawcą „Kresowej Atlantydy” – Bogusławem Szybkowskim na Zamku Królewskim w Warszawie po otrzymaniu Nagrody KLIO za edycję tej serii książek

Nie stroni Pan również od trudnych tematów – np. czystki etnicznej o znamionach ludobójstwa – czy zbrodni dokonanych na Polakach na Wołyniu (1943) i w Małopolsce Wschodniej. Podejmuje Pan temat akcji „Wisła” (1947).

Sprawa rzezi wołyńskiej, ale też podolskiej i pokuckiej to wielki cierń w stosunkach polsko-ukraińskich. Od pokoleń nieusunięty przez polityków polskich i ukraińskich, przez ich nieumiejętność rozwiązania tej sprawy. Mijają lata, a jesteśmy prawie w tym

samym punkcie. W moich książkach ukazuję ogrom tej zbrodni i daję setki konkretnych, niepodważalnych dowodów, że było to ludobójstwo. Nie jestem historykiem dworskim, nie interesuje mnie, kto teraz Polską rządzi i jaką politykę historyczną narzuca konkretny minister edukacji. Jestem jako historyk niezależny, bo żadnej z moich książek nie dotowała żadna opcja polityczna – ani z prawa, ani z lewa. Mogę wydawać kolejne tomy tylko dlatego, że poprzednie miały swych czytelników i zwróciły się koszty ich druku, A są one niemałe, bo wydawca, Bogusław Szybkowski, wydaje „Kresową Atlantydę" na najlepszym papierze, z doskonałymi skanami fotografii, w kolorze i ze znakomitymi jakościowo twardymi okładkami. Piszę w tych książkach o sprawach kontrowersyjnych, starając się o maksymalny obiektywizm i szeroki kontekst obyczajowo-historyczno-polityczny.

Powtarza Pan często, że trzeba pamiętać o korzeniach. Przypomniał Pan wypowiedź swojego wuja, który przytoczył słowa prezydenta Johna Kennedy'ego z 1961 roku: „Moi rodacy, nie pytajcie, co kraj może zrobić dla was, pytajcie, co wy możecie zrobić dla swego kraju". Przytacza je Pan kilka razy – jako rozumienie patriotyzmu.

Mam głębokie przekonanie, że należy znać swoje korzenie rodzinne. Należy szczycić się tymi, którzy imponowali szlachetnością, mądrością i zostawili po sobie ważne dokonania.

Nowoczesne społeczeństwa muszą się opierać na wartościach niepodważalnych, sprawdzonych, bo bez nich trudno budować przyszłość. Społeczeństwo to – by użyć metafory – nie jakaś termitiera, mrowisko, w którym żyją istoty, które się napełniają i opróżniają, nie mają żadnej nazwy, nawet x czy y, mają swój czas biologiczny i nagle giną, przemijają, nie zostawiając śladu. Takie społeczeństwo nie ma racji bytu. Musimy wiedzieć skąd przyszliśmy, jaką drogą idziemy i gdzie oraz z kim chcemy dalej iść. I takie przykłady o tym skąd przyszliśmy i co zostawiliśmy po sobie są we wszystkich moich książkach, z 17. tomami „Kresowej Atlantydy" na czele. Cytat z wypowiedzi Kennedy'ego, do którego często wracam, jest rzeczywiście dla mnie esencją patriotyzmu. Nie żądam od mojego państwa, żeby coś mi dało, ale staram się moją pracą w jakimś skromnym wymiarze o coś mój kraj wzbogacić.

Co dalej – Panie Profesorze?

Jeżeli będzie nam (i żonie, i mnie) służyło zdrowie i nie ostygnie mi wyobraźnia, to będziemy posuwać się w realizacji centralnego zamierzenia – opisania historii miejscowości, które Polska utraciła po II wojnie światowej oraz przypomnienia wielu mieszkającym dziś nad Odrą, Nysą Łużycką, Notecią czy Wartą o ich kresowych korzeniach.



Halina i Stanisław Niciejowie przed swoim dworkiem w Pępicach

Wywiad w skróconej formie ukazał się w nowojorskim „Nowym Dzienniku” (09. 02. 2022 r.).

Wierszyki na Dzień Dziecka

Wierszyki te przepełnione są miłością języka polskiego oraz głębokim sentymentem do Ojczyzny. Pisałam je z nadzieją, że pomogą one polskim dzieciom w Kraju i za granicą w miły, łatwy i wesoły sposób w nauce języka angielskiego, jak również z nadzieją, że moja wnuczka pokocha język polski i moją Ojczyznę.

Krystyna Stevenson



Krystyna Stevenson podczas wieczor w Ambasadzie Polskiej w Londynie z okazji 75-lecia powstania Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, z książką "Wierszyki dla mojej Wnusi".

Krystyna Stevenson ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Łódzkim. Zanim wyjechała z Polski, pracowała jako prezenterka telewizyjna i dziennikarka. Była również asystentem reżysera w polskim filmie. Obecnie pracuje jako psychoterapeuta w Londynie. Od kiedy pamięta, pisze opowiadania i wiersze. Jej ostatnie publikacje w języku

angielskim to: thriller psychologiczny „Co jest prawdą” (tylko dla dorosłych), „Historia niedźwiedzia: przewodnik wewnętrzny” (dla dzieci) i „Pamięć światła – współczesny cud” (napisany wspólnie z Thomasem Clough Daffernem). „Wierszyki dla mojej Wnusi” wydane w 2015 roku powstały z miłości i tęsknoty. Saskia, dla której książeczka została napisana, mieszka bowiem wraz z rodzicami na pięknej wyspie Koh Samui w Tajlandii. Jakże to daleko od Londynu. Ta dwujęzyczna książeczka jest uniwersalna, może służyć każdemu dziecku o polskich korzeniach, temu mieszkającemu za granicą, do nauki języka polskiego, a temu mieszkającemu w Polsce, do nauki języka angielskiego. Wiersze na język angielski przetłumaczyła Judy Karbritz – poetka i performerka. Książka została bogato zilustrowana przez Mari l’Anson, która przez całe swoje zawodowe życie pracowała jako ilustratorka książek dla dzieci i dorosłych. Książka jest dostępna na Amazon.

*

ANIELE STRÓŻU MÓJ

„Aniele stróżu mój,
Ty zawsze przy mnie stój,
Rano wieczór, we dnie, w nocy.
Bądź mi zawsze do pomocy.”

Gdy to babcia powiedziała,
Wcale się nie uśmiechała.
Tak poważna wtedy była,
Jakby sama w to wierzyła,

Jakby miała mi przekazać,
Coś ważnego i nie zrażać,
Nie obrażać uśmiechami,
Aby wciąż zostało z nami,

Jak ten moment świadomości,
Który w nas z kosmosu gości,
Który łączy wszechświat cały,
By się dzieci uśmiechały
I szczęśliwe ciągle były
I w radosnym świecie żyły.

*


Wierszyki
dla mojej
Wnusi
Krystyna Stevenson
Poems
for my
Grand-daughter



Krystyna Stevenson z wnuczką Saskią w Disneylandzie

*

PSZCZÓŁKA MAŁA, KTÓRA NIE CHCIAŁA BYĆ KRÓLOWĄ

Była sobie pszczółka mała,
Bzykająca, złota cała.
Prążki miała brązowiutkie
I skrzydełka też malutkie.

Pracowniczką pszczółka była;
Nektar z kwiatków przynosiła.
Burzy, wiatru się nie bała,
Do słoneczka uśmiechała.

Taka była mądra, miła,
Miłość w każdym obudziła.
“Może zrobić ją królową;
Pięknie mówi polską mową?”
I na wiecu się zebrali,
I pytanie przekazali:

“Chciałabyś być pszczół królową?”
“Nie!” – odpowie, kręcąc głową;
“Pięknie musi być ubrana
I uśmiechać się od rana.
Gdy ją chłopiec pocałuje,
To kraj cały krytykuje.

W ulu siedzieć i się nudzić,
Nie daj Boże się ubrudzić.
Tylko dzieci produkować,
Mysleć, jak tu je wychować,
Aby chlubę przynosiły;
Mamy, babcie się szczyciły.

A ja jestem pszczółka mała,
Fruwam sobie, w słońcu cała.
Popracować trochę trzeba;
Nectar zbierać- wola nieba…
Ale wolna czuję się;
NA SWIAT PATRZĘ TAK JAK CHCĘ!”.

*



Pszczółka, która nie chciała być królową, zrobiona przez Saskię dla Babci z okazji imienin

*

BOGINIE I ŁAPÓWKI

Raz boginki trzy tu były
I bez przerwy się kłóciły;
Która najpiękniejszą jest,
Aż dostały Paris test.

“Piękny taki i był wszędzie,
Niech więc naszym sędzią będzie.
Ekspert on w kobietach jest,
Więc się pozna na nas też”.

Łapówkami go nęcono
I nagrodę przepłacono;
Na Helenę mu wskazano;
Wojnę z Troją wywołano.

To w zamierzchłych czasach było;
Dotąd się nic nie zmieniło:
Od maleńkiej już dziewczynki,
Przekupiamy za malinki.

Jeśli babcia większe dała,
Będzie babcię wnet kochała.
Miłość mamy zapomniana,
Bo nie dała nic od rana.

Od maleńkiej przekupują ,
A następnie się dziwują ,
Że swiat łapówkowy mamy;
Nie zapłacisz – nic nie damy.

*



Saskia z babcią i dziadkiem na statku



Podróże z babcią i dziadkiem

*

URODZONA POD ZNAKIEM LWA

Lwicą dużą jest Babunia,
Małe lwiątko to Sasunia.
Dziadek także duży lew,
Byle tylko nie wpadł w gniew.

Dużą grupę lwów tu mamy,
Wszyscy bardzo sie kochamy;
Wujek Sławek to lew słodki,
Iga, Sylwia lubią plotki…

Kilka innych lwów też znamy,
Ale tamtych nie kochamy,
Tak aż bardzo jak Babunię
I naszą śliczną Sasunię.

Nie do wiary, co Wam powiem;
Prababunia Sasi bowiem
Była również lwicą panią,
Każdy w ogień chciał iść za Nią.

Całą wojnę przewalczyła,
Ciągle piękna, nie utyła.
A po wojnie wspominała,
Gdzie przed wojną balowała.

Przekazała nam w pamięci;
Walczyć, jeśli Bóg poświęci
Cel tej walki patriotycznym,
Bohaterskim swiatłem ślicznym.

Również Babci przekazała,

Że nie wolno być nieśmiała;
Jeśli cel wyznaczysz sobie,
To masz walczyć nawet w grobie.

Babcia ciągle Jej głos słucha,
Głos ten jej dodaje ducha…
Wszystko to mi przekazuje
I na lwicę mnie musztruje.

*



Krystyna Stevenson z dziećmi podczas Warszawskich Targów Książki w 2019 r.

Autorka i jej wierszowane bajki:

Zobacz też:

> Baśniowe opowieści bez przemocy w treści